ROZMAITOŚCI.

Dnia 23 października, Ner 43. roku 1847.

Bandy Karlistów w Sierra Morena.

(Dokończenie.)

Nazajutrz rano wyruszył cały orszak w dalszy pochód ku wierzchołkom gór, lecz ponieważ dowódzcy ile możności zdaleka od bitego gościńca się trzymali, przeto było tyle trudności do pokonania, że do piątej godziny wieczorem tylko małą przestrzeń przebyto. Rozłożono się nad brzegiem niewielkiego jeziora. Rudy *cabecilla* miał długą rozmowę we cztery oczy z Navarrem, a potém zabrawszy czternastu ludzi z sobą, pożegnał się z towarzyszami. Gdy reszta oddziału znowuż w drogę ruszyła, zachowywano jaknajgłębsze milczenie, gdyż Navarro zaklął się na duszę i na ciało, iż każe powiesić każdego, ktoby się tylko gwizdnąć poważył. Około północy stanęli karliści nad gościńcem, przerzynającym Sierrę-Morenę. Przekroczono go w grobowej prawie ciszy, poczém znowuż gęsty las górski objął nocnych wędrowców, którzy przez gałęzie zaledwie przedrzeć się mogli. Nareszcie stała się gęstwina tak trudną do przebycia, ziemia była wszędzie tak chaszczami i wrzosami pokryta; iż nie było gdzie nogi postawić, a w końcu zatrzymać się musiano.

»Znieście chróstu i rozłóżcie duży ogień!« zawołał Navarro.

Wzięto się natychmiast do dzieła. Wkrótce stanął ogromny stos, który też niezwłocznie podpalono. Noc była tak zimna, że biedny margrabia i jego służący Cabrado, nieprzyzwyczajeni do téj górskiéj temperatury; bez ogrzania się przy ogniu, niechybnieby skrzepli byli. Następnie zabrano się do przyrządzenia noclegu, co przy tak krzemienistym gruncie, suchémi patykami zarzuconym, nie małéj zaiste wymagało inwencyi. Wszelako uprzątnąwszy nieco krzemieni i poruszawszy ziemię długim szpiczastym kijem, powiodło się Don Jozému przysposobić sobie jak na te okoliczności bardzo miękkie łoże; a gdy nadto otrzymał przypadkiem do dowolnego użytku mały, wprawdzie tylko do pół ciała sięgający kożuszek barani, którym się jako tako mógł przykryć; zdało mu się, że wygód sybaryckich doznaje. Po czterogodzinnym śnie zabrzmiało około 6 godziny zrana hasło, powołujące w drogę do El Barranco de las Canas, gdzie się różne oddziały karlistów zgromadzić miały.

„Nim ztąd ruszymy« — ozwał się Sanchez do Don Jozégo — »muszę znaleźć sztuciec, który tu przed kilką dniami schowałem.«

„Jakto! Tu, w téj nieprzebytéj pustyni?« — zawołał Don Jozé, zdumiony tą miejscową pamięcią starego gerylasa. »Niepodobna, abyś go znalazł!«

Sanchez nic nie odpowiedział, lecz zaczął długim okutym kosturem suche liście na ziemi przerzucać. Niedługo trwało, a szukana broń zadźwięczała istotnie pod kosturem. Sanchez pokazał ją z tryjumfującą miną margrabiemu, i ocierając kosztowny sztuciec z wilgoci, mruknął kilkokrotnie z widocznem zadowoleniem:

»Instinto! Instinto!«

Wkrótce wsiedli wszyscy częścią na konie, częścią na muły, i uderzyli w pochód. Don Jozé nie mógł się wstrzymać od posępnego zastanowienia się nad końcem téj nocnéj wędrówki. Navarro postrzegł jego zamyślenie się, i rzekł:

»Martwisz się pan, jak widać?«

„Życzyłbym sobie w istocie wyjść z téj niepewności o mój los przyszły. Już trzy dni jestem w mocy pańskiéj, a dotąd jeszcze nie wiém, co mię właściwie czeka.«

„Uspokój się senor« — rzecze Navarro z ugrzecznieniem. »Żeśmy pana dotychczas nie zabili, ani też w czémkolkwiek pokrzywdzili, do czego przecież, jak pan sam przyznasz, mamy wszelką moc i prawo, stało się to jedynie z tego powodu, żeśmy się spodziewali otrzymać od pana podarunek odpowiedni temu dobrodziejstwu naszemu i prawdopodobnéj wdzięczności pana. Z drugiéj zaś strony, wnosząc z moich uczuć na pańskie, lękam się abyś pan swoją wrodzoną spaniałomyślnością nie chciał unieść się daléj, niż tego pańskie finansy dozwalają; przeto postanowiłem położyć tamę pańskiéj hoj-

ności, i oświadczam wyraźnie, iż pod żadnym warunkiem nie przyjmę więcej nad mierną sumkę dwóch kroć stu tysięcy realów.»

Don Jozé był w istocie tą niezbyt wielką „sumką”, jak się *cabecilla* wyrażał, poniekąd zadziwiony; jak go też kawalerska grzeczność Navarra zaspokoiła. Bo cóż mu w gruncie broniło, nałożyć na swego gościa trójnasób tak wielką sumę? Ta uwaga pocieszyła margrabię, i byłby już bez wszelkich dalszych sporów na warunki Navarra przystał, gdyby sobie naraz był nie przypomniał, iż rolę margrabi za rolę Don Jozé-Maria-Fernandeza wymieniał, i że stosownie do tego postępować mu też należy. Zaczém jął się rozwodzić nad zbyt wielkim szacunkiem sumy i niepodobieństwem dla jego rodziny zapłacenia téjże za niego.

»Szanuj pan swoje płuca, Don Jozé» — odrzekł Navarro ozięble „Mam tak wielkie zaufanie do pana, iż gdyby kto inny w ten sposób o panu mówił, opisując pana jako wyrzutka, znalezionego pod płotem, a rodzinę pańską jako zgraję obszarpanych włoczęgów; speniłbym na nim słowa szlachetnego Cyda-Kampeadora, wyrzeczone przezeń do ojca: „Rękę moją zamienię w nóż albo sztylet, i sam ci wnętrzności z ciała wydrę!»

„A jeżli, jak to według wszelkiego prawdo-podobieństwa się zdaje, rodzina moja nie będzie w stanie złożyć téj sumy?»

„Natenczas” — odpowie Navarro, przechylając głowę z spokojnym namysłem cokolwiek na dół, i zaciskając wargi — »należy się według wszelkiego prawdo-podobieństwa spodziewać, że panu kilka łutów ołowiu zażyć damy.»

„I jakimże sposobem może być list wyprawiony?»

»Przez chłopa.»

To nabawiło margrabię nowego i największego kłopotu, gdyż należało wymienić adres prawdziwy. Bo jakże inaczéj chłop, nie przypuszczony do tajemnicy jego *incognito*, będzie mógł list w stosowne ręce oddać? Gdyby zaś karliści zmiarkowali że mają w swojéj mocy syna jenerała i granda hiszpańskiego, zięcia prezydenta rady ministeryjalnéj; tedy byliby go, już dla samego dotychczasowego ich zwodzenia, albo natychmiast zamordowali, albo byliby znacznie większy okup wymogli, a może nawet jeszcze i po otrzymaniu onego, jak się Navarro grzecznie wyrażał, kilka łutów ołowiu margrabi zażyć dali. Zamyślał się więc Don Jozé nad wycofaniem się z tego niebezpieczeństwa, i rzekł.

„Ponieważ pan mojemu gołemu słowu nie wierzysz, przeto napiszę list. Ale jakąż wiarę znajdzie wyprawiony przez pana posłaniec? Rodzice moi będą myśleli, iż dawno już zginąłem, i wcale się o mnie dalej troszczyć nie zechcą. Ja narażam przy tém życie moje, co po prawdzie nie zbyt wielkiéj jest wagi, lecz panowie stracicie okup.»

Mówisz pan mądrze jak z książki»— odpowiedział Navarro. Jestto czysto hiszpański sposób mówienia. Francuz, nie bezwarunkowo każdéj książce wierzący, byłby dodał: jak z książki o złotych brzegach. Don Jozé ozwał się dalej:

„Radze wyprawić tego człowieka» — tu wskazał na Cabrada, którego jednak nie wymienił być swoim sługą. »Moja rodzina zna go, i uwierzy mu, gdy jéj zaręczy, iż żyję i nic mi się złego nie stało.«

Navarro namyślał się długo, a potém rzekł:

„Dobrze. Cabrado pójdzie. Atoli wyłuszcz mu pan należycie, iż w razie zdrady z jego strony, pan też niezawodnie padłbyś ofiarą sprawiedliwości boskiéj, bądźto już przez jakąś przypadkiem o głowę twoję otłukującą się kulą karabinową, bądź też jakiem znienacka wokoło szyi odziergniętym węzełkiem.»

„A jak też długo potrwa, aż Cabrado powróci?» spytał Don Jozé.

„To będzie zupełnie od woli rodziny pańskiéj zależało» — odrzekł Navarro — »Jeżli ona przyspieszy sprawę, nie będzie trwało dłużéj nad dni dziewięć.»

„Dziewięć dni!» zawołał biedny margrabia. „Jeszcze dziewięć dni mam między wami spędzić!»

„Radość pana unosi» — ozwał się *cabecilla*, szczerząc zęby.» Pojmuję to. Nasze towarzystwo nastręcza panu tyle przyjemności i rozrywek! Tak, mój kochany Don Jozé, wielu jest powołanych, lecz mało z nich wybranych. Pan należysz do tych ostatnich, kochany przyjacielu; jakoż nie mogę zamilczéć z mojéj strony, że i my też tak wielką przyjemność w towarzystwie pańskiém znajdujem, iż rozstanie z niém do jak najpóźniejszego czasu odłożyćbyśmy chcieli.»

Tymczasem stanęła cała banda u celu podróży, w Barranco de las Canas. Tam wziął Navarro Cabrada na stronę, i rzekł: »Masz tu potrzebne instrukcyie, których ściśle trzymać się będziesz. Na wypadek spotkania się z innémi wojskami partyzanckiemi, daję ci ten list żelazny.» Był on w następnych słowach ułożony:

„W imieniu króla Karola V. dozwalam Don Jozému Cabradowi wolnego przepustu w podróży do Madrytu, dla przywiezienia ztamtąd sumy 200 000 realów w okup za swego pana.— Barranco de las Canas, d. 26 października. Podpisano kapitan Antonio Navarro.»

Prócz tego listu bezpieczeństwa otrzymał Cabrado jeszcze rodzaj kontramarki, za pomocą któréj miał uwiadomić Navarra o swym powrocie, tudzież *una cura de oro* (dukata) na opędzenie kosztów podróży.

Don Jozé uścisnął swego sługę ze łzami w oczach. „Pepe!" rzekł: »życie moje jest w twoim ręku."

»Bądź pan spokojny»— odpowiedział tenże. „Uczynię wszystko, co tylko w mej mocy będzie, aby pana czemprędzéj oswobodzić.»

* * *

W tydzień późniéj nadszedł chłop z doniesieniem, iż Cabrado z powrotem do Ciudad Real przybył. Navarro wybrał się natychmiast w drogę, i wrócił wkrótce z listem od komendanta miasta Ciudad Real, któremu samaż królowa wykupieniem Don Jozégo zająć się poleciła. List komendanta, odczytany przez Navarra całéj bandzie, opiewał jak następuje:

»Wszystko już gotowe; nie pozostaje nic więcéj jak porozumieć się o sposób wypłaty pieniędzy. Ponieważ mamy zanadto mało żołnierzy, abyśmy sami żądaną sumę do Mologon odstawić mogli, przeto czynimy wam następne przedłożenie. Udamy się z okupem do Puente de la Nolaya, o milę od Ciudad Real. Tam i wy też przybądźcie. Skoro się zdala obaczym, wyjdzie Cabrado w towarzystwie oficera naprzeciw was. Wy zaś z swojéj strony zajdziecie nam drogę z Don Jozém, poczem wymiana bez dalszych okoliczności się odbędzie. Jeżeli się wam ten wniosek podoba, tedy bądźcie łaskawi oznaczyć dzień i godzinę zejścia."

Navarro odpowiedział na to:

»Warunki, któreście nam przedłożyli, przyjmuję w własnem i towarzyszy moich imieniu. Będziemy czekali u mostu nad rzeką Nolayą dnia 8 listopada, w południe o 12 godzinie. Gdyby żołnierze, eskortujący sumę okupną, wcale przeciw naszemu oczekiwaniu, zdrajczy knowali zamach; byłoby to niechybnie hasłem do zamordowania Don Jozégo. Cabrado może przyjść w towarzystwie oficera a nawet jednego żołnierza."

Don Jozé dodał w przypisku prośbę do swego wiernego sługi o przyniesienie mu pary trzewików, ile że tylko jeszcze jakieś obdarte łapcie skórzane ma na nogach.

Nazajutrz rano wyruszył cały oddział ku mostu nad Nolayą, dokąd nie można było zajść prędzéj jak za dni trzy. Po kilkugodzinnym pochodzie zatrzymano się na jednym z niższych szczytów Sierry-Moreny, aby muły i konie popaść. Wszędzie leżały bryły skał na krzemienistym, tylko gdzieniegdzie paprocią i wrzosami skąpo porosłym gruncie. Atoli rozprzestrzeniający się ztamtąd widok w doliny, był nadzwyczajnie piękny. Dzikie pogórza Sierry, których szpiczaste zarysy ostro i ciemno na jasnobłękitnem kroiły się niebie; drobniały zwolna aż ku nizinom, rozpościerającym się w nieprzejrzanéj po krańce widokręgu oddali. Don Jozé, który przez tyle dni widział tylko góry i góry, ścieśniające wzrok ludzki jakby spiętrzonémi murami w najwęższe granice, gdzie prawie trudno było odetchnąć; uczuł teraz z rozkoszą, jak mu się pierś rozszérzała, i z niewymowną swobodą i lekkością zaczerpnął świeżego, dalekiego powietrza. Serce mu się rozradowało, gdy po tak długiém odosobnieniu od ludzkich mieszkań i towarzyskiego życia; kazał sobie wymienić nazwy tych wsi i miasteczek, które jak gwiazdki promienne z rozpostartej u stóp jego doliny, ku niemu połyskiwały. Widział Fuende des fresno, Picon a w sinéj oddali sterczały wieże »miasta królewskiego"— Ciudad Real. Jeszcze daléj pokazywano mu małą czerniejącą na widokręgu kropkę, cel jego awanturniczéj podróży, Puente de la Nolaya, gdzie go swoboda i zbawienie oczekiwały.

O zmroku ujrzał margrabia w dalekiéj odległości oddział zbrojny, ciągnący konno ku górom.

„Są to"— mówił Ramirez „gerylasy pod dowództwem Zacharyjasza, syna jenerała Palilo. Wracają oni zwykle o téj porze w góry Możemy już wyruszyć, gdyż jesteśmy bezpieczni od nich."

„Albożsię ich lękacie?" spytał Don Jozé.

„A jużci. Gdyby Zacharyjasz był pana ujrzał; byłby cię nam niechybnie odbił, i sam wziął okup nam przynależny.»

Po tycz słowach wsiadł karlista na koń. Reszta poszła za jego przykładem, a wkrótce przebyto szczyt góry.

Nazajutrz wieczorem zbliżono się o milę do Ciudad Real. Wyszukawszy sobie miejsce dość ochronne od nagłego napadu; rozłożyli się tam karliści obozem. Gdy się niezwykle długim wypoczynkiem po trudach dni ostatnich pokrzepiono; wzięli się wszyscy do przygotowań ku umówionéj schadzce. Niektórzy podkuwali konie, inni łatali sobie odzież i obówie, a Navarro kazał się jakiemuś przypadkiem tamtędy przechodzącemu balwierzowi ogolić, aby przyzwoicie mógł wystąpić. Poczem dosiedli wszyscy koni. Przybywszy na wzgórek, zkąd można było widzieć dokładnie Ciudad Real, zostawiono Don Jozégo pod strażą kilku karlistów, podczas gdy Navarro z resztą ku mostowi nad Nolayą się udał. Ułożono poprzednio, iż nadejście oddziału, eskortującego sumę okupną, miało być oznajmione wystrzałem, który też dla Don Jozégo i karlistów miał być znakiem do wyruszenia. Atoli południe już upływało, a upragniony strzał jeszcze słyszeć się nie dał. Don Jozé siedział na wzgórku, wlepiwszy oczy w gościniec do Ciudad Real Wszelako nic się tam nieokazywało, coby jakkolwiek podobne było do eskorty. Karliści zaczęli się nareszcie niecierpliwić. Toż i Navarro ze swoimi u mostu— jakto margrabia ze wzgórka po ich żywych gesty

kulacyjach mógł wnosić— zdawał się rażno rozprawiać: co daléj czynić wypada. Naraz, jeden z jego towarzyszy chwycił go prawą ręką za ramię, a lewą wskazał ku gościńcowi. Wszyscy, nawet ci na wzgórku, spojrzeli w wskazaną stronę. Jakoż w istocie ujrzano tam bagnety nadchodzących żołnierzy, lśniące w blasku południowego słońca; któryto widok w największą wesołość karlistów wprawił.

»Pieniądze! Pieniądze!„ wołali raz poraz, podczas gdy margrabia dotychczasowe doświadczenia swoje nowém wzbogacił postrzeżeniem, że dwie złotówki oczom daleko bystrzejszy wzrok nadają, niż najlepsze soczewki i śkła przybliżające.

„Czy widzisz senor» — ozwał się jeden z karlistów, strzegących margrabię, i serdecznie mu rękę ścisnął — „czy widzisz senor ów biały punkt, który tam na gościńcu zwolna zwolna ku nam się zbliża? Jestto *toldo* (białe płótno) wozu, wiozącego nam *realillos* (pieniążki)!»

Zwolna okrył się cały gościniec wojskiem, a bagnety błyszczały jak dyjamenty. Radość karlistów zaczęła się nieznacznie w rodzaj wątpliwego zdumienia zmieniać, co się głównie przedłużeniem ich twarzy objawiło.

»Co to znaczy?„ pytano się wzajemnie. „Niechże ich piorun trzaśnie, jeźli co złego przeciw nam knują!»

„Czyż nie należy owszem tę mnogość żołnierzy uważać za oznakę honoru, za dowód szacunku komendanta Ciudad Real dla was senores?» zapytał margrabia, chcąc swoich zniepokojonych i rozgniewanych towarzyszy ułagodzić.

Ale ta hypoteza zdała się im wcale nieprawdopodobną, przez co tylko nowy dowód swojej wielkiéj skromności wynurzyli. Przeciwnie, w miarę jak się liczba tych niby na ich cześć połyskujących bagnetów powiększała; wzrastał też ich zły humor. Tymczasem podstąpił zbliżający się oddział wojska na odległość strzału karabinowego od mostu. W téj oddali zatrzymano się, według umowy. Z przedniego szeregu wystąpił ordynans, i wyszedł naprzeciw Navarra, znajdującego się po drugiéj stronie mostu. Zetknąwszy się z ordynansem, oświadczył Navarro, iż karliści, w bardzo małéj liczbie zebrani, uważają tę ilość rządowego wojska za zbyteczną i niebezpieczną; przeco dla swego bezpieczeństwa przymuszeni są żądać, aby wykupienie jeńca po téj stronie mostu uskuteczniono. Ordynans wrócił z tém do swego komendanta, który ze swojéj strony zażądał widzieć naprzód Don Jozégo, nim do dalszych kroków przystąpi, dodając oraz, że ułożonych poprzednio warunków w niczém nie zmieni. Lubo Navarro tą odpowiedzią bynajmniéj nie był zadowolonym; przecież dał znak straży margrabiego, aby się przybliżyła. Atoli zaledwie pilnujący Don Jozégo karliści ze swoim jeńcem ze wzgórka zeszli, i drogą ku mostu się wzięli; nadleciał Navarro cwałem ku nim, wołając z całego gardła, aby się zatrzymali.

„Cabrado nikczemny zdrajca!» — krzyknął *cabecilla* zgrzytając zębami. „Nie chce z pieniędzmi przez most przyjść, pod pozorem, jakobyś pan nie żył, Don Jozé. A tymczasem wojsko coraz bliżéj nadchodzi. Słuchaj senor, pisz natychmiast słów kilka, aby przekonać tych urwiszów, iz żyjesz, i zdrów jesteś. Jeźli zaś ociągać się zechcesz, tedy my, *voto à Dios!* ociągać się nie będziem!»

Don Jozé uczynił, co mu kazano. Navarro wrócił natychmiast z kartką margrabi, a wkrótce potém cofnęła się eskorta nazad na wyznaczoną odległość. Zaczém rozpoczęło się wyliczenie pieniędzy w obecności Navarra i drugiego karlisty z jednéj, a Cabrada i oficera oddziału karlistowskiego z drugiéj strony. Gdy się rzecz ku końcowi miała, skłonił się Navarro głęboko przed Don Jozém, nieco bliżéj przyprowadzonym, i rzekł z uprzejmym doń uśmiéchem:

»Oby cię niebo nadal w swojéj opiece miało, senor! Najgorętszém mojém życzeniem jest ujrzeć cię znowu jaknajrychléj; i tylko nadzieja spiesznego ziszczenia się tych życzeń pociesza mię poniekąd przy obecném rozstaniu. Proszę pana uważać mię za swego najuniżeńszego sługę i przyjaciela.»

»Gdybyś pan kiedy był w Madrycie» — odpowiedział Don Jozé z podobnąż uprzejmością w głosie i minie — »tedy proszę uważać dom mój za swój własny. Na każdy zaś wypadek, bądź przekonanym, iż dobrodziejstw twoich nigdy nie zapomnę, i wcześniéj czy późniéj, sowicie ci się odpłacę.»

Navarro roześmiał się, i odjechał do swoich towarzyszy. Don Jozé wsiadł do powozu, i w towarzystwie Cabrada pospieszył ku żołnierzom, którzy go powszechnym okrzykiem radości powitali.

We trzy dni późniéj stanął margrabia w Madrycie, gdzie miał dość czasu opowiadać swoim stroskanym krewnym i znajomym przygody, doznane w ciągu trzech tygodni swego pobytu pomiędzy karlistami — co z owém szczególném czynił upodobaniem, jakiego zawsze przy rozpamiętywaniu przebytych niebezpieczeństw doznajem.

Aleksander Humboldt.

Według bijografii francuzkiéj.

Żywe śrebro — rtęć — dopóty w nieustannym jest ruchu, dopóki swéj średnicy nie znajdzie: toż samo dzieje się z ideami w Europie. Prusy biorą

potężny udział w tym ruchu umysłowym. Berlin, istotna średnica germanizmu, staje się dla cudzoziemca, który to miasto co kilka lat odwidza; przedmiotem osobliwszych badań i niezwyczajnego zdumienia. Co za zmiana w umysłach i stosunkach w tak krótkim czasie! I to nietylko w sferach, gdzie postęp równie jest potrzebą jak i dążnością; lecz i tam, gdzie jednostajność zdaje się być koniecznością, wynikającą z samegoż położenia, warunkiem bytu.

Ta skrzętna ruchawość życia nie okazuje się w Berlinie nigdzie w tak uderzającém świetle jak u księżnéj Amalii Pruskiéj, będącéj istotnie promienistym płanetą, około którego w téj myślącéj stolicy wszelka umysłowość, wszelka umiejętność, cała filozofija wirują

Księżna Amalija jest rowieśniczką Getego, wychowaną w ideach filozoficznego germanizmu z końca zeszłego wieku. O ile to w mocy kobiéty, spółuczestniczy ona temu wielkiemu poruszeniu, téj ogromnéj duchowéj pracy, która jak powódź wzbierająca, owłada całe Niemcy, obalając, gruchocząc wszystko, co tylko jéj postępowi przeszkadza. W salonach księżnéj Amalii obaczysz wszelkich uczonych, profesorów, podróżników, poetów, filozofów, książąt, dyplomatów, słowem wszelkie talenta, wszelkie reputacyje. Bywa tam książę Pückler-Muskan, znany ze swoich pism, podróży i dziwactw; Plato Czitraczew, piękny jak Antinous, ochotnik okropnéj wyprawy do Khiwas; Ranck, sławny rzeźbiarz; Krüger wielki malarz bitew; Encke, równie skromny jak uczony; Gall, któremu młodą jeszcze sławę Leverriera zawdzięczamy. Posłuchajmy z jakiém on uszanowaniem mowi o matematyce, która w sobie saméj jest tak niemylną; jak on potępia małoduszność, chcącą zazdrostki narodowe wprowadzić w umiejętność, która ma tylko jednę ojczyznę — świat, i jednę tylko powinna miéć namiętność — namiętność prawdy

Między tymi znakomitymi mężami, widać często starca chorowitéj powierzchowności, jenijalnéj twarzy, w szerokiéj białéj chustce na szyi, otoczonego licznem gronem słuchaczy. Po błyskawicznem spojrzeniu, po żywości ruchów, po zadziwiającéj jasności wyrażenia się, po różnostronności i głębi uwag — poznać mistrza. Ten starzec, któremu 77 lat bynajmniéj energii nie przytępiły, jestto chluba Prus i całych Niemców, jestto najszczytniejsza indywidualność europejska, odkąd Cuvier umarł a proroczy głos Chateaubrianda umilkł; jestto — Aleksander Humboldt. Sławny autor dzieła „Kosmos" jest tém w Berlinie, czém w Wajmarze był Gete, t. j. żyjącém arcydziełem, cudowną, niesłychanie skomplikowaną machiną, któréj ani jednego kółka nie braknie. Bywszy ulubieńcem zmarłego króla pruskiego, pozostał on również przyjacielem teraźniejszego, i pełni zaszczytny obowiązek orędownika wszystkich umysłowych interesów w obliczu tronu. Menażeryje w źwierzyńcu i na wyspie pawiéj, botaniczny ogród w Berlinie, magnetyczne obserwatorium w Charlottenburg — sąto utwory, natchnione, wykonane, wydoskonalone i ciągle zbogacane jego starannością, namiętną i ognistą jak młodość, nieznużoną jak czysta miłość umiejętności.

I uważając go jedynie jako człowieka światowego, co za odrębna, zachwycająca osobistość! Jak on po mistrzowsku całą konwersacyję owłada, kieruje, rozpromienia! Nie masz gruntu tak jałowego, w którymby on jakiejś nieznanéj oazy nie odkrył — nie masz widokręgu tak ścieśnionego, w którymby jakiegoś nowego, czarującego nie wypatrzył widoku!

Nie można sobie wyobrazić, jak trudno jest utrzymać publicznie rozmowę z panem Humboldtem. Kto nie posiada jędrnéj dobitności wyrazu, ścisłéj loiki, a przedewszystkiém niezachwianéj niczém pewności; staje się nieuchronnie ofiarą tego porażającego umysłu, ktory niekiedy swawolną uciechę, a nawet okrutną nieraz igraszkę czyni sobie z okazania swojéj przewagi nad innymi, z obnażenia słabych stron ludzi. Pan Humboldt wychodzi sam z najułudniejszą uprzejmością naprzeciw swojego przeciwnika: wita go z kapeluszem w ręku, jak gwardyje francuzkie Anglików pod Fontenay, ośmiela go swoją powabną łagodnością — zwolna zaś osnuwa go coraz cieśniéj jasną przędzą swych myśli; aż wreszcie pochwyci go uwikłanego, zgniecie go do szczętu, i zdepce w prochu, nim jeszcze biédny zwyciężony o łaskę prosić uspieje. Prawda, że pan Humboldt sam go potém znowu z ziemi podniesie, z ironiczną litością go pogłaszcze, a nawet czasami własną ręką rany owiązać mu pomoże.

Pan Humboldt jest prawie codziennym gościem u stołu królewskiego. Ile razy wesoły zwykle i udzielający się umysł jego krol. mości, wspomnieniem jakichś zanadto staroniemieckich fochów, jakich mu panowie profesorowie uniwersyteccy, lub członkowie akademii umiejętności, bynajmniéj nie oszczędzają, na chwilę się zasępił; zawsze natenczas zadaniem pana Humboldta bywa, wypogodzić znowu czoło dostojne.

Znaczyłoby to taktykę powszedniego dworaka, gdyby pan Humboldt tę sępność królewską w jéj właściwém jądrze zaatakować umyślił; nie, on uderza podjazdem, fortelem; od zupełnie ubocznéj okoliczności przystępuje zwolna do rzeczy. Zaczyna mówić o piérwszéj lepszéj materyi; wybor przedmiotu bynajmniéj go nie troszczy; gdyby tego potrzeba było, sam z sobą wszcząłby rozmowę, mniejsza czy o tém lub owém. Nieznacznie ogólniki wiodą do szczegółów, szczegóły do anegdoty,

a anegdota jestto właściwa dziedzina, właściwe pobojowisko, właściwy tryjumf pana Humboldta u dworu. Po pewnych symptomatach poznaje on, iż uwaga krolewska rozbudziła się; wtedy podwaja się też żywość rozmawiającego, i dają się słyszeć historyjki najkrotofilniejsze, najswobodniejsze, najśmielsze a malownicze nad wszelki opis, opowiadane czasem w niemieckim, czasem we francuzkim, niekiedy też w obudwóch razem językach, z niewzruszoną na pozór oziębłością — historyjki, których powtórzenia nikt za nic w świecie podjąćby się nie ważył, które tylko sam pan Humboldt znośnie przyprawiać umie, z niewymowną zgrabnością zbyt mocne wrażenie ich łagodząc. Prawie zawsze głośny wybuch śmiéchu jego król. mości przerwie staremu facecyjoniście.

Nadzwyczaj ciekawą rzeczą i prawdziwie rzadką rozkoszą umysłową było słyszeć pana Humboldta w Paryżu, idącego tam w zapasy z drugim równie potężnym przeciwnikiem, obdarzonym takąż samą niezmierną bystrością i chytrością umysłu, podobnież olbrzymim, srogim szydercą jak Humboldt, mającym tyleż dowcipu i jenijuszu jak ktokolwiek pod słońcem; obeznanym ze wszystkiemi kolejami losu i świata, z niedolą i wielkością, z zupełną ciemnotą i blaskiem — człowiekiem, który wśród najdziwniejszych zmian szczęścia nauczył się poznawać ludzi, pogardzać nimi, i na pasku ich wodzić, który z polityki, z nauk moralnych, z filozofii i ścisłych umiejętności, wié wszystko, ile wiedzieć można, a który w życiu prywatném jest tak pojedyńczym i skromnym, jak dzielnym i głębokim w publiczném — słowem z Ludwikiem Filipem.

Pan Humboldt mówi wybornie i mówi wiele. Ta chętka jest w nim tak mocną, iż nie mógł się nigdy dać portretować, ponieważ nie był zdolnym milczeć i nie ruszać się w ciągu potrzebnego do malowania czasu.

Zaledwieby ktoś temu mógł dać wiarę, że autor dzieła „Kosmos”, w tak świetnych żyjąc okolicznościach, bynajmniej w dostatki nie opływa. A przecież tak się ma w samej rzeczy. Jest on ubogim jak Chateaubriand, i z tychże samych przyczyn. Cały jego majątek został wyłożonym na dalekie podróże, podjęte własnémi koszty i niezmordowaną gorliwością, z jednego końca świata na drugi, z Ameryki do Syberyi i t. d.

Jeszcze jedną jego właściwością jest, że jak Newton, przez całe życie usiłował zachować się wolnym od oziewu ziemskich namiętności, i jest przeto prawdziwą Westalką wiedzy.

Zresztą jest pan Humboldt wcieleniem się germanizmu w francuzczyznę, i trudno oznaczyć, któréj z tych dwóch narodowości on właściwiéj przynależy. Jakoż nie same tylko umysłowe dążności łączą go z Francyją: matka jego była Francuzką. Pochodziła ona z jednéj z owych osad fracuzkich, które wyrokiem Nantejskim z Francyi wygnane, zamieszkały w krajach niemieckich, gdzie jeszcze po dziśdzień typ, tradycyje, poważanie i język swych przodków zachowują.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 42gi i zawiéra: 1) Chów koni. 2) O nawodnianiu łąk. (Ciąg dalszy). 3) Rzecz o lasach dla właścicieli lasów i urzędników ich. (Ciąg dalszy). 4) O kartoflach. (Wyimek z dziennika Lloyd). 5) Tyminieckiego wynalazku machina do żęcia zboża. 6. Wiadomości handlowe i przemysłowe. Korzystna konstrukcyja pował.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 22gi i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Księżniczka Mery. Wyjątek z dziennika oficera rosyjskiego w garnizonie na Kaukazie. (Ciąg dalszy). 2) Damokles. Wiersz przez Kornela Ujejskiego. 3) Terminologja nauk społecznych, przez L. D. B. 4) Kronika literacka. 5) Teatr przez Sz. 6) Fraszki gramatyczne.

Z Warszawy. *Biblijoteka warszawska* za miesiąc październik zawiéra: 1) Wiadomość o rękopismach zawierających w sobie rzeczy polskie, przejrzanych po niektórych biblijotekach i archiwach zagranicznych, a zwłaszcza rzymskich, w latach 1846 i 1847, przez Aleksandra Przezdzieckiego (ciąg dalszy). 2) O zakładach przemysłowych gubernii moskiewskiéj, przez A. Samoiłowa. Tłumaczył z rosyjskiego z dodaniem wstępu: O zamierzonym związku cłowym handlowym między Polską i Rosyją, Feliks Miaskowski (z tabelami). 3) Palec boży; z familijnego podania, powieść przez Ad. Am. Kosińskiego (ciąg dalszy). 4) Kronika literacka, 5) Rozmaitości. 6) Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych. 7) Kronika biblijograficzna. Doniesienia literackie. Dostrzeżenia meteorologiczne.

Kościół św. Zofii w Konstantynopolu, w roku 1453 w meczet zamieniony, ma teraz na rozkaz sułtana zupełnie być wyrestaurowanym. Gips i wapno, któremi przepyszne mozaiki i freski niegdyś zalepiono; będą teraz starannie zdjęte, a tak, ważne owe w artystycznym i historycznym względzie zabytki, zostaną jaknajtroskliwiéj przywrócone. Sułtan często osobiście roboty téj dogląda, okazują przytém wielkie zamiłowanie sztuk. Ale jakże wydadzą się obrazy chrześcijańskie w mahometańskim meczecie, i jakiémi oczami fanatyczni Turcy będą na nie patrzyli! Kościół św. Zofii jest najstarszym kościołem chrześcijaństwa, stanął bowiem jeszcze za czasów cesarza Justynijana. Obecną restauracyją jego zajmuje się architekt Fossati.

Ilustracyje średnich wieków. Dnia 14go października wyszedł w Paryżu piérwszy zeszyt przepysznego dzieła, kosztującego 500 franków, zawierającego prócz tekstu 250 wielkich obrazów miniaturowych, 250 osobnych wielkich rycin na miedzi i drzewie, 800 w tekście umieszczonych drzeworytów.

razem około 4000 wizerunków arcydzieł i przedmiotów średnio-wiekowych. Całkowity napis tego dzieła jest: »Wieki średnie i czasy odrodzenia; historyja i opis obyczajów i zwyczajów, handlu i przemysłowości, nauk, literatury i sztuk pięknych w Europie.« Tekstu dostarczają najznakomitsi dziejopisowie i uczeni francuzcy.

Statystyka duchowieństwa. W świéżo wyszłym drugim tomie dzieła pana Moreau de Jonnes pod napisem »*Elémens de Statistique*«, udziela autor następujących szczegółów o ubywaniu ilości duchownych w Europie: »Ważne zmiany zaszły w łonie téj potężnéj korporacyi, która przed rewolucyją francuzką posiadała trzecią część a gdzieniegdzie nawet połowę wszelkich posiadłości ziemskich. W r. 1757 naliczył *abbé* de Saint-Pierre we Francyi 40 000 proboszczów, 60.000 innych duchownych, 100.000 mnichów i 100.000 zakonnic; razem 300.000 osób duchownego stanu, czyli 1 osobę duchowną na 67 świeckich. W roku 1829 liczyło duchowieństwo francuzkie tylko 108.000 członków, czyli 1 osobę duchowną na 280 świeckich. Mnogie i wielorakie przyczyny uszczupliły liczbę duchowieństwa od 16 wieku w uderzający sposób. Porownywając liczby, przekonujemy się, że w stosunku do powszechnéj ludności umniejszyło się duchowieństwo: w Rzymie, w 65 latach, o trzy piąte części; w Portugalii, w 31 latach, o pięć szóstych części; w Bawaryi, w 28 latach, o dwadzieścia dwie dwudziesto-trzecich części; w Sycylii, w 51 latach o więcéj niż połowę; we Francyi, w 67 latach, o przeszło cztéry piąte części; w Szwajcaryi, w 67 latack, o trzecią część; w Anglii, w 134 latach, o prawie dwie trzecie części; w Rosyi, w 35 latach, o daleko więcej niż jedną trzecią część; w Danii, w 20 latach, o przeszło połowę; w Szwecyi, w 60 latach, o jedną trzecią część. Najznaczniejszego ubytku doznało duchowieństwo katolickie: w 50 latach umniejszyło się w sześciu państwach europejskich o 855.000 księży świeckich, zakonników i zakonnic.

Kolej żelazna w powietrzu. Z Lyonu donoszą: »W pobliżu lasku Tête-d'Or urządzono kolej powietrzną. Ze szczytu pawilonu, mającego 15—18 metrów wysokości; bieży ku ziemi powróz druciany, mierzący 30—100 metrów długości od wierzchołka pawilonu aż do poziomu. Po tym powrozie zjeżdżają na dół powozy, wiszące w pewnym rodzaju windy. Ten nowy sposób podróżowania w powietrzu, zyskał niezwykłą wziętość, co zachęciło przedsiębiorców rozciągnąć tę kolej w nierównie większą odległość. Jakoż powzięto zamiar urządzenia napowietrznéj kolei żelaznéj, któraby od południowego szczytu Croix-Rousse biegła aż do Brotteaux. W sąsiedztwie warowni Saint-Laurent; tudzież po lewym brzegu Rodanu, mają być założone dwie między-stacyje. Odległość obudwóch kończyn téj kolei wynosi 550 metrów; różnica ich wysokości przynajmniéj 60—80 metrów. Ta kolej napowietrzna ma być nad wszelki spodziw trwałą i bezpieczną, i będzie służyła do transportowania osób jak i pakunków. Omnibus na 8 osób będzie utrzymywał regularną komunikacyję między obudwoma kończynami. W miejscu największéj wysokości zostanie urządzona machina parowa o sile 20 koni, mająca za pomocą obracającego się walca zwijać powróz druciany, aby wozy i ciężary nazad w górę windować. Nie wątpią, iż pomimo dziwaczność tego przedsiębiorstwa, takowe przecież do skutku przyjdzie, ile że już koło Brotteaux pracuje wielka ilość robotników nad zbudowaniem rusztowania, z którego powróz druciany do Croix-Rousse ma się ciągnąć. Obliczono już nawet ugięcie, jakie tak znaczna odległość sprawić musi, jakoteż siłę, potrzebną do windowania powozu i ciężarów z niższej ku wyższéj kończynie kolei.

Starożytności amerykańskie. Dopiéro od niewielu lat zwróciły starożytności amerykańskie powszechną na się uwagę, a liczni podróżnicy usiłowali wynaleźć wszystkie miejsca, gdzie się jeszcze jakiekolwiek pomniki dawniejszéj oświaty zachowały. Towarzystwo geograficzne w Paryżu wspiérało te badania, wyznaczywszy w r. 1826 nagrody za archeologiczne i etnograficzne odkrycia w średniéj Ameryce, jako téj części Ameryki, która w takowe zabytki najbardziéj obfituje. Nie małéj tedy wagi jest rzeczą, iż niedawno pewien Francuz w nowéj wcale stronie stałego lądu Ameryki, starożytne rzeźby odkrył. Wiedziano już o istnieniu niektórych starożytności w lasach Brazylskich, na wyżynie Santa Fe de Bagota, na cieśninie Daryjskiéj, pominąwszy wielkie pomniki w Meksyku, Peru, Guatimali i Yucatanie — lecz podzisdzień nieznane były nikomu starożytności w państwie Venezuela. Otoż jeden z młodych francuzkich lekarzy, bawiących tamże, odkrył dużą skałę, okrytą rzeźbami, leżącą przy drodze z Porto-Cabello do Walencyi, w pobliżu wsi Santesteban. Rzeźby te były po większéj części w ziemi ukryte; młody Francuz kazał ziemię odgarnąć, a towarzyszący mu Amerykanin sporządził dokładny rysunek, który przez p. Chandler, północno-amerykańskiego konsula w Porto-Cabello, do instytutu narodowego Ziednoczonych Stanów przesłanym został. Skałę z szytrowego granitu wydobyto na wiérzch i ogładzono; jest ona cała hieroglifami i ozdobami okrytą, do których jednak dotąd nikt klucza znaleźć nie umiał. Głębokość wyrzezanych kresek wynosi często półtora a szerokość 3/4 cala. Figury i głoski zdają się nie mieć żadnego prawie powinowactwa z resztą pomników starożytnéj Ameryki. To potwierdza zdanie tych, którzy podobne zabytki téj części świata za owoc rodziméj cywilizacyi poczytują. Im więcéj takowych pomników z czasu przed odkryciem Ameryki na jaw wyjdzie, tém jaśniéj okaże się, iż ludność amerykańska jest piérwotną, rodzimą i że równie jak wszystkie inne rasy, szereg rozmaitych stopni wewnętrznego rozwijania się przebyła.

Fryderyk Soulié, znany powieściopisarz francuzki, tudzież autor dziewięciu dramatów, z których kilka ciągle do sztuk repertuarzowych należy, współpracownik wszystkich prawie znakomitszych dzienników i przeglądow paryzkich; umarł w miesiącu wrześniu. O ile w początkach zawodu literackiego od zbyt surowéj prześladowany krytyki, o tyle był on późniéj równie w piśmiennictwie jak i w życiu prywatnym ceniony i poważany. Pogrzeb jego odbył się z największą okazałością. Wiktor Hugo miał mowę nad grobem. Aleksander Dumas, oddawna najpoufniejszy przyjaciel zmarłego, chciał także słów kilka przemówić, lecz łzy rzęsiste odjęły mu mowę. Pomiędzy pozostałémi rękopismami Souliégo znajdują się dwie prace dramatyczne, z których jedna, dramat historyczny »*Le vieux Paris*« w teatrze »Ambigu-Comique«, druga, wodowil dwuaktowy »*Une fatalité*« w teatrze wodewilowym, na scenie się okaże. Prócz tego pozostawił Soulié jeszcze historyczny romans w rękopiśmie. — Minister spraw wewnętrznych rozporządził, aby marmurowy biust Souliégo z należytą uroczystością w »teatrze francuzkim« ustawiono.

Dziennik ułatwiający związki małżeńskie. Od niedawnego czasu zaczęło w Paryżu wychodzić co tygodnia pismo czasowe pod nazwą »Harem«, mające służyć głównie ku ułatwieniu ślubów małżeńskich. Ochotnicy i ochotniczki do stanu małżeńskiego ubiegają się na wyścigi w wynurzeniu tamże swoich życzeń i wymagań, przyczém oczywiście nie zbywa na przechwałkach. I tak n. p. czytamy między innémi ogłoszeniami: »Jestem człowiekiem przyjemnej powierzchowności, mam gęsto zarosłą brodę i t. p., i szukam towarzyszki, któraby nie była ani brzydka ani garbata« — co zapewne świadczy o niepospolitéj skromności żądającego. Jakże przeciwnie opiewa następne ogłoszenie, znajdujące się w jednym z dalszych numerów: »Kochany przyjacielu! Proszę o wskazanie mi w jaknajkrótszym czasie młodéj, ładnéj osoby, 20 do 22 lat mającéj, z posagiem przynajmniéj 180 do 220 tysięcy franków wynoszącym. Potrzebuję jéj dla dość dobrze płatnego dziennikarza, który do opozycyi należy i świetne nadzieje rokuje.« — Nie można więc zaprzeczyć, że pismo takowe jest godne wszelkiego uznania, ile że odpowiada duchowi czasu i rzuca niemałe światło na obyczaje. Nadto musimy jeszcze nadmienić, że każdy abonent »Haremu« ma prawo redagowania sobie anonsu małżeńskiego według własnego upodobania, nie lękając się ze strony redakcyi kontroli co do prawdziwości napisanego sobie panegiryka. I tak w jednym z ostatnich numerów dowiadujemy się o zajmującéj ośmnastoletniéj blondynce, modniarce, która »jest sama jedna na świecie«, z zarumienieniem wyznaje, iż ją ludzie bardzo ładną nazywają, i że dla uniknienia nieustannych sideł zwodzicielstwa, szuka obrońcy, rozumie się: majętnego. Nieco daléj, na téjże saméj stronie donosi »kobiéta w latach trzydziestu, matka młodziutkiej córeczki, wdowa, brunetka, lubiąca stroić się, i cokolwiek wybrédna« że radaby pójść za mąż, lecz jest trudna w wyborze.

Sposób noszenia kapelusza ułatwia poznanie charakteru i niektórych skłonności człowieka. I tak: noszony na bakier kapelusz oznacza tchórza, który udaje zucha; na tylną część głowy zasadzony, znamionuje gapia lub mazgaja, człowieka lękliwego albo dawnego bakałarza. Kto nasuwa kapelusz na oczy, tak że z tyłu wydaje się podniesionym, jest żartownisiem. Kto go naciska prostopadle na oczy, jest mrukiem lub zrzędą. Trzymać w ręku kapelusz, lub dotykać go się często zlekka jakby do zdjęcia, oznacza eleganta z prowincyi, lub też proszącego o co, który układa się do wystąpienia w przedpokoju ministra. Właściciel kapelusza połyskującego od czystości jest niezawodnie człowiekiem systematycznym i zamiłowanym w porządku. Kapelusz stożkowaty, wysoki, z wstążką i brzegami szérokiémi, słowem taki, jakiego już nie noszą; oznacza umysł fałszywy, pełen przesady i pretensyi. Młodzik-burda nosi kapelusz wytarty i na ucho zasadzony; u pracowitego bywa bardzo wytarty i na oczy nasunięty. Młodzik który ma wyjechać z prowincyi, ukazuje się w kapeluszu stożkowatym białym, popielatym lub błękitnym, z szérokiémi krésami i wstążką, aby zwrócić uwagę. Rzemieślnik, handlarz, mają upodobanie do kapelusza jedwabnego, z długą nastroszoną pelą, szczególnie przy świątecznem ubraniu. Kapelusz jedwabny z krótkim włosem, wysoki a z krésami wązkiémi, służy do ubrania chudego pachołka ze wsi, lub też świątecznie wystrojonego cieśli, mularza. Stary dożywotnik nosi po prostu kapelusz stary, z brzegami nad czołem, od tyłu podniesionémi. Jeżeli się na dészcz zanosi, przykrywa go chustką do nosa w kratki, przytrzymując końce jéj w zębach, jeźli je ma. Człowiek roszczący sobie pretensyję do uczoności, osłania się kapeluszem nizkim z bardzo szérokiémi krésami, przeczo w potrzebie ma twarz zupełnie ocienioną. Do tego ostatniego sposobu uciekają się też doświadczyńscy, zmuszeni rozmawiać z obowiązku swego z nieznanymi ludźmi, zwłaszcza gdy mają dać odpowiedź odmowną. Człowiek zakrawający na oryginała, przybiera kapelusz w kształcie głowy cukru lub półmiska, dnem do góry wywróconego.

Król jastrzębi. Jedna z nowszych historyi naturalnych opowiada, iż każde stado jastrzębi, składające się najmniéj z 300 sztuk, miewa zawsze jednego naczelnika, który różni się pierzem od innych, i żre najpierwéj. (*Princeps quia prima copit.*) Jeźli inny znajdzie przypadkiem łup jakiś w jego nieobecności, i pożerać go zacznie; natychmiast za zbliżeniem się króla ustępuje, i nie waży się przystąpić nazad do ścierwa, aż tamten do syta się nażre. Ten przewódzca jastrzębi okazuje zawsze wielką powagę, i nigdy nie przestaje z resztą pospólstwa, które każdego razu z czcią przed nim się usuwa.

Wymysły kobiece i męzkie. Anna Austryjacka, królowa Francyi, była tak delikatną, iż nawet atłas pulchną jéj rękę ranił. — Ninon de Lenclos mawiała, iż gdyby ją kto przy stworzeniu świata o radę był zapytał, byłaby zmarszczkom na piętach nie zaś na twarzy miejsce wyznaczyła. — Kaligula rzekł raz do swojéj kochanki Druhilli: »Miałbym ochotę kazać na torturach cię męczyć, abym się dowiedział, dla czego cię tak kocham.«

Historyja myśliwska. Niedaleko Lyonu polowało dwóch myśliwych na zająca, gdy wtém niespodzianie strażnik leśny ich naszedł. Jednemu z myśliwych zrobiło się markotno, gdyż nie miał pozwolenia do polowania. — »Stój cicho« — poszepnął mu jego towarzysz, mający takowe świadectwo. »Jakże mam stać, gdy przecież wiész, że nié mam...« — »Właśnie dla tego stój tu, a ja zaczuę umykać. Skoro zaś strażnik w pogoń za mną się puści, ty ruszaj coprędzéj za kotem.« — Tak też się stało. — Sługa sprawiedliwości jął ścigać umykającego, aż go wreszcie po dość długim biegu zadyszany dopędził. »Czy masz pan pozwolenie?« — zapytał przytrzymując schwytanego. »Jużci że mam; o to jest.« — »A czemużeś pan uciekał?« — »Chciałem tylko sprobować, kto z nas lepiéj biega.« — Tymczasem drugi myśliwiec był już daleko za górami.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.